

BIEG NIEPODLEGŁOŚCI

95. ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ POLSKĘ



XII Chorzowski Bieg Niepodległości

„Pierwszy krok do zrzucenia niewoli to odważyć się być wolnym
Pierwszy krok do zwycięstwa – poznać się na własnej sile”

Tadeusz Kościuszko

W roku pamięci Powstania Styczniowego oraz Roku ks. Prymasa Augusta Hlonda pragniemy już po raz dwunasty, zaprosić na lekcję patriotyzmu, wychowania obywatelskiego, historii i kultury fizycznej,

jakim jest Chorzowski Bieg Niepodległości. Młodzież naszego miasta, w ten uroczysty sposób, odwiedzając miejsca pamięci, walk i męczeństwa, honoruje wszystkich tych, którzy nieśli Polsce wolność, w dniach zaborów i okupacji. To szczególna akademie ku czci Narodowego Święta Niepodległości. Przez takie symboliczne ukazanie Polski, jako królestwa wyzwolonego ducha swobody i niepodległości, staramy się wychowywać społeczność uczniowską, w poczuciu obowiązku za kraj, w historycznej sztafecie pokoleń. Przez owe symbole rozumiemy centralne wartości chrześcijańskiego kraju, ceremonie ku czci bohaterów narodowych, historyczne mity zakorzenione w świadomości Polaków, wizerunki i ikony nawiązujące do ważnych wydarzeń, w historii naszej ojczyzny.

Obchody Narodowego Święta Niepodległości, w Polsce mają charakter podniosły i uroczysty. Przed II Wojną Światową obchodzone były dwukrotnie w 1937 i 1938 r. Po wojnie władze komunistyczne zakazały uroczystości niepodległościowych, jednak naród nie zapominał o swoich

ofiarach, na szlaku walk i męczeństwa, za wolną Polskę. W trakcie obrad „Okrągłego Stołu” w 1989 r. przywrócono tę uroczystość jako Narodowe Święto Niepodległości.

Dziś, kiedy Polska ma wolność, demokrację, społeczną gospodarkę rynkową, musimy myśleć o przyszłości. O nowych wyzwaniach XXI w. Jednym z nich jest wychowanie patriotyczne młodego pokolenia. Tak by, w złożonych procesach integracji i globalizacji, nie stracić tożsamości narodowej, by nie wstydzić się swojego pochodzenia, wiary ojców, języka literackiego, znajomości ojczystej historii. Taka swoista pedagogika narodowych celów i wyzwań, towarzyszy naszym staraniom, w budowaniu nowoczesnego polskiego patriotyzmu. Patriotyzmu stojącego twarzą na fundamencie tradycji, zwyczajów i obyczajów naszej historii ale śmiało i odważnie patrzącego, w przyszłość nowoczesnych rozwiązań życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego.

Niech ta lekcja historii i wychowania przyczyni się do większego zrozumienia powinności obywatelskich, dnia dzisiejszego tak, bowiem spłacimy dług, wobec wszystkich tych, którzy oddali swoje życie, byśmy mogli żyć wolni.

Krzysztof Kazimierzczuk



Regulamin Chorzowskiego Biegu Niepodległości

Cel i funkcja biegu

§1

1. Chorzowski Bieg Niepodległości jest swoistą lekcją wychowania patriotycznego.
2. Celem biegu jest kształtowanie postaw patriotycznych wśród młodego pokolenia społeczności uczniowskiej chorzowskich placówek oświatowych.
3. Bieg spełnia funkcję środka dydaktyczno służącego realizacji programu wychowawczego.
4. Chorzowski Bieg Niepodległości jest symbolem kształcenia młodzieży na rzecz kultury fizycznej.

Zasady biegu

§2

1. W Chorzowskim Biegu Niepodległości uczestniczą reprezentacje szkolne pod opieką nauczyciela.
2. Liczbę uczestników biegu oraz ilość opiekunów należy zgłosić organizatorowi.
3. Liczbę przewidywanych uczestników imprezy zgłaszają poszczególne szkoły i placówki oświatowe wraz z osobami odpowiedzialnymi za opiekę nad grupą.
4. Organizatorem Chorzowskiego Biegu Niepodległości jest Akademicki Zespół Szkół Ogólnokształcących w Chorzowie, ul. Gen. J. H. Dąbrowskiego 36 41-500 tel./fax: +48 32 2411712, 32 2417294
5. Organizator zobowiązany jest do poinformowania uczestników biegu o jego terminie i miejscu oraz przebiegu i zakończeniu.
6. Bezpośrednią opiekę nad reprezentacją szkolną sprawuje nauczyciel danej szkoły.

Zasady uczestnictwa

§3

1. Uczestnicy Chorzowskiego Biegu Niepodległości przychodzą na start w strojach sportowych dostosowanych do warunków pogodowych.
2. Bieg ze względu na swój charakter pozbawiony jest elementów rywalizacji sportowej.
3. Uczestnicy biegu zobowiązani są do zachowania charakteru uroczystości ku czci Narodowego Święta Niepodległości.
4. Reprezentacje szkół przygotowują symboliczną wiązkę kwiatów i zniczy w celu złożenia w miejscach poświęconych pamięci naszych bohaterów narodowych.
5. Trasę biegu wyznacza organizator biegu zgodnie z zasadami Ustawy Prawo o ruchu drogowym (rozdział 5, „Wykorzystanie dróg w sposób szczególny” z dnia 20.06.1999 r. z późniejszymi zmianami.)
6. Uczestnicy biegu zobowiązani są podporządkowania się Służbie Ochrony Biegu, którą stanowią osoby ubrane w stosowne kamizelki ochronne.
7. Służba Ochrony Biegu wyznacza trasę biegu w trakcie jego trwania.
8. Bieg rozpoczyna się i kończy stosowną komendą.
9. Uczestnicy biegu zobowiązują się do przywrócenia do poprzedniego stanu pasa drogowego na trasie przejazdu, przejścia lub miejsca pobytu, a w przypadku uszkodzenia pasa drogowego lub urządzeń drogowych, będących następstwem imprezy, do ich bezzwłocznej naprawy lub pokrycia kosztów napraw.

mgr Krzysztof Kazimierzczuk

Zastanawiając się nad hasłem przewodnim tegorocznego XII Chorzowskiego Biegu Niepodległości *Kultura w służbie Narodu*, pomyślałem o kinie, rozumianym zarówno jako rodzaj sztuki uwiecznionej na taśmie filmowej, jak i samą projekcję oraz budynek, w którym się ona odbywa. Medium to, posiadające ogromną moc wpływania na świadomość masową, może być wykorzystane zarówno dla celów propagandowo-ideologicznych, jak i patriotyczno-historycznych. Dodam, że najbardziej chyba oddziaływało ono w XX w. na naszą narodową wyobraźnię i tożsamość.

Film w służbie Narodu

Od początku istnienia odrodzonego państwa polskiego, a nawet i wcześniej kino, jako środek masowego przekazu towarzyszyło Polakom w swoistej wymowie patriotycznej, że wspomną tylko takie filmy, jak: *Warszawska ochrana i jej tajemnice* - film niemy z 1916 r., *Cud nad Wisłą* - polski niemy film fabularny w reżyserii Ryszarda Bolesławskiego z 1921 r., czy *Młody las* - znakomity udźwiękowiony film historyczny z 1934 r. w reżyserii Józefa Lejtesa.

W ostatnich latach polski film historyczny, bądź nawiązujący do trudnych czasów w dziejach naszego narodu, przeżywa swoisty renesans. Licznie wyprodukowane filmy mają różną wartość artystyczną i faktograficzną, ale przybliżają przeciętnemu odbiorcy zarówno dzieje naszego państwa i narodu, jak i pobudzają do refleksji nad naszą często niełatwą historią. Pozwolę sobie przytoczyć tytuły tylko niektórych filmów z ostatnich dwóch lat, jak: *1920 Bitwa warszawska*, Jerzego Hoffmana, *Czarny czwartek*. Janek Wiśniewski padł, Antoniego Krauze, *Oblawa*, Marcina Krzyształowicza, *Róża*, Wojciecha Smarzowskiego, *W ciemności*, Agnieszki Holland, *Syberia polska*, Janusza Zaorskiego, *Tajemnica Westerplatte*, Pawła Chochlewy, *Sierpniowe niebo*. 63 dni chwały, Ireneusza Do-



1920 Film Jerzego Hoffmana
BITWA
WARSZAWSKA

browskiego, *Powstanie Warszawskie* (genialny pierwszy na świecie film fabularny zmontowany w całości z materiałów dokumentalnych), *Wałęsa. Człowiek z nadziei*, Andrzeja Wajdy, czy oczekiwany w przyszłym roku *Miasto 44* Jana Komasy.

Warto tutaj wspomnieć o chorzowskich tradycjach kinowych, na przykładzie nie istniejącego już niestety kina „Panorama”, które splatają się z dziejami regionu górnośląskiego, jak i państwa polskiego w XX i XXI w. Początki kina w dzisiejszym Chorzowie sięgają czasów sprzed I wojny światowej, kiedy funkcjonowało jako

teatr świetlny pod nazwą „Kammer Lichtspiele” w Königshütte (ówczesna nazwa Chorzowa, który był wtedy częścią Cesarstwa Niemieckiego). W latach dwudziestych w wyniku przyłączenia Górnego Śląska do Polski nazwa miasta Königshütte została spolszczona na Królewską Hute, a stare niemieckie kino „Kammer Lichtspiele” zamieniono na „Apollo”, którego właścicielami była brytyjsko-śląska spółka. Ciekawostką jest fakt, że „Apollo” w okresie plebiscytowym wyświetlało filmy z polskimi napisami. Jak istotna to była instytucja stanowi informacja, że kino chorzowskie (w wy-

niku zmian administracyjnych Królewska Huta została przemianowana na Chorzów w 1934 r.) było największym kinem w województwie śląskim.

Do końca 1929 r. na Górnym Śląsku wszystkie filmy były nieme i ukazujące się napisy, które miały na celu objaśnianie publiczności akcji, były wyświetlane w dwóch językach: polskim i niemieckim. Również obsługa, jak i reklama była dwujęzyczna. Pokazują to specyfikę życia na Górnym Śląsku, i skomplikowane relacje występujące w odrodzonym państwie polskim. Początkowo nikomu to nie przeszkadzało, ale po 1926 r.

często w związku z tym dochodziło do konfliktów pomiędzy widzami kina. W okresie II wojny światowej na terenie Chorzowa rozpoczął się proces germanizacji, podczas którego zmieniono nazwę miasta ponownie na Königshütte oraz nazwę kina na „UTLichtspiele Apollo”. Po roku 1945 powrócono do polskiej nazwy „Apollo”. W 1957 r. zmieniono nazwę kina na „Panorama”, w związku z wprowadzeniem projekcji panoramicznej we wszystkich kinach w Polsce. Pod nowym szyldem ta instytucja kulturalna funkcjonowała aż do 30 września 2013 r. (z przerwą w latach 1992-1994), kiedy to niestety została zamknięta. Wizytówką kina po okresie transformacji ustrojowej było promowanie wydarzeń regionalnych. Ambitny charakter kina wyznaczały tradycyjne cykle, jak: „Filmowy Chorzów”, „Dyskusyjny Klub Filmowy”, czy „Akademia Filmowa”. Szkoda, że instytucja, która przyczyniła się do rozwoju kulturalnego Chorzowa i Górnego Śląska, i przetrwała różne zawirowania dziejowe, zniknęła przede wszystkim z powodu przemian cywilizacyjno-gospodarczych naszych czasów. Pozostaje nam ufać, że kino odrodzi się jeszcze w naszym mieście i będzie nawiązywać do chlubnej przeszłości naszej małej ojczyzny.

Miejmy nadzieję, że kino będzie służyć narodowi, może nie w rozumieniu przedmiotowej podległości, bo przecież kino to wartość ponadnarodowa, ale w sensie szerzenia postawy patriotyzmu, nie tylko narodowego, ale również lokalnego, regionalnego i europejskiego oraz dla zrozumienia i obiektywnego poznania niełatwej historii naszego państwa i często skomplikowanych losów jego mieszkańców.

Marek Gawlik
Zespół Szkół Technicznych
i Ogólnokształcących Nr 4
im. J. Śniadeckiego w Chorzowie

Bibliografia:

- Cieśliński Kosma Marek, *Kultura filmowa w Chorzowie w latach 1989-2009*, „Zeszyty Chorzowskie”, t. 11: 2010, s. 71-83.
- Drabina Jan, *Historia Chorzowa 1257-2000*, Chorzów 2007.
- Lewandowski Jan, *Chorzowskie kine-matografy: wędrówki po kinie*, „Śląsk”, nr 15:1998, s. 43.
- Lewandowski Jan, *Chorzowskie tradycje filmowe*, [w:] *Filmowcy i kiniarze. Z dziejów X muzy na Górnym Śląsku*, pod red. A. Gwoźdźcia, Kraków 2004, s. 68-78.
- Lewandowski Jan, *Kina*, [w:] *Encyklopedia Chorzowa*, pod red. G. Grzegorka, Katowice 2009, s. 226-227.
- Lubelski Tadeusz, *Historia kina polskiego. Twórcy, filmy, konteksty*, Katowice 2009.
- Piegiż Marian, *Chorzów i chorzowianie w służbie X Muzy*, Świętochłowice 2006.



Młody las w reżyserii Józefa Lejtesa, rok 1934

„Pamięć jest tą siłą, która tworzy tożsamość istnień ludzkich, zarówno na płaszczyźnie osobowej, jak i zbiorowej. Przez pamięć bowiem w psychice osoby tworzy się poniekąd i krystalizuje poczucie tożsamości”. Tak w swojej książce „Pamięć i tożsamość” błogosławiony papież Jan Paweł II parafrazuje wypowiedź francuskiego filozofa Paul Ricoeur'a wygłoszoną w trakcie sympozjum „Identity in Change” w 1994 r.

Symbol i tożsamość

W tej wypowiedzi pojawia się ważne w tych dniach dla każdego obywatela Polski, bez względu na jego narodowość, pojęcie – TOŻSAMOŚĆ. Trzymając się definicji podręcznikowej można stwierdzić, że tożsamością nazywamy: cechy, dane personalne, poczucie jedności, pozwalające identyfikować daną osobę, a nawet całe grupy społeczne.

Jednym z elementów budujących tożsamość, a zarazem różnicujących poszczególne jednostki, rody jest – herb rodowy. Pełnił on rolę zwornika spajającego wiele indywidualności w jedną, piękną, bo złożoną – całość.

Herb pojawia się, jak pisze prof. Józef Szymański, jako wojskowy znak bojowo-rozpoznawczy umieszczany na proporcach, w okresie brzośku średniowiecza. Pojawia się w średniowieczu dojrzałym jako znak rozpoznawczy na tarczy, hełmie, a następnie jako wyobrażenie napieczęte pana lennego.

Razem z wykształceniem się prawa heraldycznego, między XIII a XV wiekiem, herb zaczął oznaczać przynależność do konkretnych rodów szlacheckich w ich włościach, później innych panów lennych oraz miast i cechów rzemieślniczych. Herbarze zwiększają swoją objętość wraz z pojawieniem się w drugiej połowie XIV w. procesu nobilitacji, tj. nadania szlachectwa.

Na terytoriach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a wcześniej w Koronie i Wielkim Księstwie, ilość herbów nie przyrasta w takim samym tempie jak w Europie Zachodniej. Na przełomie XV i XVI w. jest ich zaledwie 274, do rozbiorów uzyskały prawo do posługiwania się herbem 2144 rody, jednak około połowy nobilitacji nie zrealizowano.

Jednym z 274 herbów była Leliwa, którą posługiwał się Juliusz Słowacki. Blazonujemy go w następujący sposób: na francuskiej

starszej tarczy herbowej, w polu błękitnym złoty półksiężyc rogami skierowany do góry, nad nim pośrodku gwiazda sześciopromienna. Na hełmie korona margrabiowska, pawie ogony, a na nim klejnot – półksiężyc i gwiazda ta sama.

Pochodzenie samego herbu jest właściwie nieznanne, część heraldyków wywodzi go z Niemiec (Nadrenii), gdzie miał przynależeć do rodziny zasiadającej na zamku Mornsztern (Morgestern), co po polsku ma się tłumaczyć jako Leliwa. Jest również teoria wywodząca ten herb z Korony, jako symbol arcybiskupa gnieźnieńskiego Marcina. To co łączy obydwie teorie, to czas kiedy pojawia się na kartach historii Korony Leliwa – XII w. Pewne natomiast jest również, że Leliwa występuje w herbarzach rycerstwa Rzeszy Niemieckiej. Jakie dominium było miejscem narodzin tego herbu nie da się obecnie dociec.

Podobnie jak w mrokach przeszłości giną korzenie herbu Juliusza Słowackiego, tak z mroków przeszłości wyłania się Morawski ród Odrowążów tego samego herbu. Herb Odrowąż blazonujemy następująco: na tarczy francuskiej starszej w polu czerwonym srebrna strzała

brat błogosławiony Czesław, patron Wrocławia i siostra błogosławiona Bronisława, norbertanka.

Obydwa herby Leliwa i Odrowąż związane są z Akademickim Zespołem Szkół Ogólnokształcących dzięki historii tej szkoły, bowiem od 1934 roku patronem

Juliusz Słowacki stał się patronem szkoły dopiero w 1958 roku. Oficjalna nazwa szkoły do 1964 roku brzmiała: Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Chorzowie. Kolejną zmianą dla Słowaka jest utworzenie w 2007 roku Aka-



Leliwa



Odrowąż

z końcami na obydwie strony zakrzywionymi. Na hełmie korona margrabiowska, na ogonie pawie klejnot, to jest herb powtórzony na lewo w pas obrócony.

Kiedy dokładnie herb Odrowążów pojawia się na ziemiach Korony, nie do końca jest jasne. W herbarzach mowa jest o okresie między XII a XIII wiekiem, wtedy to Saul z Końskiego miał przybyć z Moraw do Małopolski. Najbardziej znanymi postaciami z rodu Odrowążów byli: Iwo, kanclerz Leszka Białego i biskup krakowski, dominikanin św. Jacek zwany Lux ex Silesia, misjonarz – Apostoł Boży Ludów Słowiańskich oraz jego

przedwojennego Państwowego Gimnazjum został właśnie ród Odrowążów.

W 1937 roku szkoła ta, posługując się współczesną nomenklaturą, stała się zespołem szkół, bowiem nazwa zmieniona została na Państwowe Gimnazjum i Liceum imienia Odrowążów w Chorzowie.

Patronat tego zasłużonego dla Polski i Śląska rodu skończył się wraz z nastaniem władzy ludowej, w 1948 roku nazwę szkoły oficjalnie „zlaicyzowano” i zatarto pamięć po „burżuazyjno-obszarniczych” patronach. Od tego momentu szkołę nazywano Szkołą Ogólnokształcącą Męską Stopnia Podstawowego i Licealnego, była ona bez imienia.

demickiego Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Chorzowie, na który składają się I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego (pot. Słowak) oraz Gimnazjum Dwujęzyczne.

Tak historia zatoczyła krag od 1937 do 2007 roku. Jednak dla absolwentów Gimnazjum Odrowążów, TPD oraz Słowaka elementem, który ich łączy budując tożsamość została szkoła i jej symbole: Odrowążowie, Juliusz Słowacki i miasto Chorzów, którego sławę razem z innymi szkołami buduje tutejszy Akademicki Zespół Szkół Ogólnokształcących.

Tomasz Buszman

Obiekt jest najlepszym dowodem na to, jak szybko coś może zniknąć ze społecznej świadomości. Wystarczy, że w 1992 roku został całkowicie zasypany. Członkowie „Pro Fortalicium” weszli do niego w 2008 roku. 16 lat niebytu spowodowało, że ludzie o nim zapomnieli. Tymczasem jest, dumny i wielki, żywy świadek tragicznej historii naszego narodu. I zaprasza do swoich odrestaurowanych wnętrz.

Schron dowodzenia Grupy Fortecznej „Śląsk” w Chorzowie

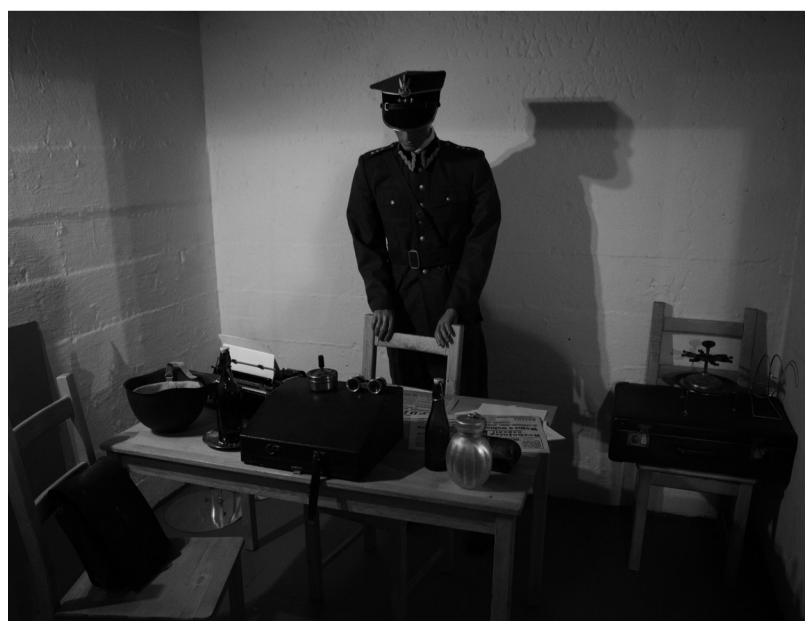
Jego budowę rozpoczęto w 1937 roku. Miejsce wybrano bardzo starannie. Położone w odległości 2-3 km od głównej linii obronnej, ukryte pomiędzy drzewami porastającymi Wzgórze Redena, niewinne i niewidoczne. Wzniesienie obiektu zakończono w 1938 roku. Od samego początku zaplanowano go jako nietypowy obiekt. Nie był schronem bojowym, nie posiadał więc żadnych wyraźnych cech tego typu obiektów. Wkomponowano go w wzgórze w ten sposób, że była widoczna tylko jego przednia ściana. Tak pozostało do dzisiaj. Na pierwszy rzut oka wyglądał niepozornie i tak właśnie miało być. Siedziba sztabu nie mogła rzucać się w oczy. Nie wspomniano o nim w raportach wojskowych. Z prostej przyczyny. Był całkowicie utajniony. Nie uchroniło to jednak przed infiltracją niemieckiego wywiadu, który wiedział o jego istnieniu.

Grupa Forteczna „Śląsk” była utajniona tak samo jak obiekt. Polakom zależało, aby Niemcy nie dowiedzieli się, kto obsadza nadgraniczne polskie fortyfikacje. W ramach trzech pułków wchodzących w skład 23 Dywizji Piechoty (11pp, 73pp i 75pp) utworzono czwarte bataliony, w których zgromadzono żołnierzy stanowiących obsady poszczególnych schronów bojowych. Dobierano ich dość starannie. Po pierwsze zwracano uwagę na ich cechy fizyczne (zbyt wysocy nie mieli szans na przyjęcie), a po drugie na ich wytrzymałość psychiczną. Liczono się z tym, że mogą walczyć w okrążeniu, więc wymagano od nich silnej odporności na stres. Poza tym sama walka w tego typu obiektach nie należała do łatwych. Ci, którym nie odpowiadał wszechobecny beton, niesamowity hałas wywo-

łany odgłosami walki, poczucie zamknięcia i braku możliwości odwrotu, nie nadawali się do czwartych batalionów, które potocznie nazywano „fortecznymi”. Razem tworzyły Grupę Forteczną „Śląsk”.

Sztab miał niesamowicie ważne zadanie do wykonania. Jego zadaniem było koordynowanie działań mających na celu obronę całego pasa ufortyfikowanej polsko-niemieckiej granicy. Obiekty, które miały na siebie przyjąć ciężar walki nazywano Obszarem Warownym „Śląsk”. Pas umocnień ciągnął się aż od miejsca, skąd niedaleko już do dzisiejszego lotniska w Pyrzowicach, a kończył się daleko na południu, za Tychami. Prawie 60 km umocnień, zasieków, pól minowych, a wszystko to wzmocnione żelbetowymi konstrukcjami, które miały być trzonem polskiej obrony na Górnym Śląsku. Schrony uzbrojono w lekkie i ciężkie karabiny maszynowe, armatki przeciwpancerne i czasami w armaty polowe. Ich załogi były gotowe do walki, która nieuchronnie zbliżała się wraz z każdym słowem wrogości, które pod naszym adresem padało za zachodnią granicą. Sztab miał dopilnować, aby owa walka przebiegała jak najbardziej efektywnie. Nie ma takich fortyfikacji, które mogłyby całkowicie zatrzymać wroga. Nawet francuska Linia Maginota została przełamana. Chodzi o to, żeby zatrzymać wroga jak najdłużej, by dać czas swoim jednostkom na reorganizację i przeprowadzenie ewentualnego kontrataku. Po prostu, trzeba było wytrzymać jak najdłużej. Sztab Grupy Fortecznej „Śląsk” miał czuwać, aby tak właśnie było.

Był tylko jeden problem, który Niemcy bezlitośnie wykorzy-



stali. Obszar Warowny „Śląsk” nie posiadał odpowiednio zabezpieczonych skrzydeł. Niemcy nie uderzyli na niego bezpośrednio. Wiedzieli, jak ciężka walka ich czeka, więc woleli uniknąć strat. Ruszyli na skrzydłach. Pomimo szaleńczego oporu Polaków udało im się przebić. Zdziętkowane polskie jednostki rozpoczęły odwrot. Niemcy zaczęli wchodzić na tyły polskich fortyfikacji. W tym momencie wydano rozkaz, że fortyfikacje należy opuścić i wycofać się w kierunku wschodnim. Było to dokładnie w godzinach popołudniowych w dniu 2 września 1939 roku. To smutne, kiedy ktoś twierdzi, że polscy żołnierze uciekali z Górnego Śląska. Nie uciekali. Wypełniali rozkaz, który także wśród nich wzbudził wiele kontrowersji. Ale wypełniali go wiernie, bo do tego byli nauczeni. Chorzowski schron dowodzenia został opuszczony w dniu 2 września, najprawdopodobniej późnym wieczorem. Zapewne zniszczono wszystkie materiały, których nie zamierzano zabrać ze sobą. Podejrzewam, że dowódca Grupy Fortecznej „Śląsk” płk Wacław Klaczyński najpierw dopilnował, aby rozkaz odwrotu został wykonany przez jego podkomendnych, a dopiero potem sam się wycofał wraz z obsadą sztabu. Nie wiem, czy Niemcy weszli do obiektu w dniu 3 września. Biorąc pod uwagę fakt, że tego dnia toczyły się jeszcze walki w Chorzowie (głównie na Rynku) możliwym jest, że stało się to dopiero w dniu 4 września. Do dzisiaj widoczne są ślady owego wejścia. Ktoś wrzucił do przedsiionka schronu granat, zapewne sprawdzając w ten sposób, czy ktoś jest w środku czy też chcąc go ogłuszyć. Wyrwa w betonie jest widoczna do dzisiaj. Taka cicha i niepozorna.

Podczas wojny schron stał nieużywany. Niemcy nie mieli pomysłu na jego wykorzystanie. Wszystko zmieniło się pod koniec wojny, gdy front z wielką szybkością zbliżał się do granic Górnego Śląska. W obiekcie widać ślady przeróbek – skuty fundament generatora prądotwórczego, przekucie przez ścianę i wpuszczone tam rury z grubymi wiązkami kabli telefonicznych w środku, a także kanał techniczny obok bryły schronu. No i korytarz, który istnieje do dzisiaj. Jedno twierdzą, że to przeróbki niemieckie, a inni, że to dzieło powojenne, gdy schron



podobno przekształcono na rodzaj przeciwbombowego ukrycia. Wydaje mi się, że to jednak niemieckie przeróbki. Jaki Niemcy mieli w tym cel, tego nie wiem. Najprawdopodobniej po prostu nie zdążyli zrobić tego, co zamierzali. Później schron używano jako rodzaj ukrycia dla cywilnych mieszkańców w przypadku kolejnego konfliktu zbrojnego. Tak było do końca lat 80-tych, gdy został opuszczony. Właściwie inaczej. Oprócz ogromnej fali dewastacji polegającej na wyszabrowaniu wszelkich elementów stalowych schron uzyskał nowych mieszkańców – bezdomnych. To właśnie spowodowało, że w 1992 roku wejście do niego definitywnie zasypano.

W 2008 roku rozpoczął się jego remont. Od samego początku finansował go Urząd Miasta Chorzów świadomy bezcennej wartości obiektu. Na terenie dzisiejszej Polski nie ma takiego drugiego. Remontem zajęło się „Pro Fortalicium”, przeświadczone o wielkiej historycznej wartości schronu dowodzenia. Rok za rokiem w ramach wolontariatu przeprowadzono kolejne prace, choć czasami ich ogrom przerażał. Wywiezienie ton ziemi i śmieci, wypompowanie ogromnych ilości wody, prace remontowe wewnątrz zawilgoconego i ociekającego wodą żelbetonowego kolosa. Czasami dopadał nas brak powietrza, zimno i chłód, a bardzo często brak światła. Ale pchała do przodu nadzieja, że się uda, a schron sztabowy powróci do służby. Dzięki naszej pracy. I tak się właśnie stało. W grudniu 2012 roku nastąpiło jego oficjalne otwarcie dla zwiedzających. Zjawili się mnóstwo osób, które były ciekawe, jak wygląda. Co prawda do zwiedzania była uruchomiona tylko górna kondygnacja, ale dolna, wyremontowana, czekała tylko na odpowiednie wyposażenie. Chorzowski schron dowodzenia otworzył się na świat. Każdy, kto go odwiedził, mógł w nim spotkać oficerów, którzy kiedyś walczyli w obronie naszej ojczyzny. Później, nadal korzystając ze wsparcia finansowego Urzędu Miasta Chorzów, rozpoczęliśmy wyposażanie dolnej kondygnacji. Obecnie służy ona jako miejsce, gdzie można zdobyć wiele informacji na temat kampanii wrześniowej (szczególnie na Górnym Śląsku), a także przyrzeć się setkom obrazów, które stanowią tragiczną zapis II wojny światowej. Można również usiąść i pooglądać filmy, dokumenty czasów, które lepiej, żeby już nie nadeszły. Zapraszam do odwiedzenia schronu dowodzenia Grupy Fortecznej „Śląsk” w Chorzowie na Wzgórzu Redena, nieopodal pięknego skansenu. Dotąd odwiedziło go blisko 2 tysiące osób. Ale schron czeka na Was. Na wszystkich, którzy chcą poznać jego historię.

*Dariusz Pietrucha
Stowarzyszenie na Rzecz
Zabytków Fortyfikacji
Pro Fortalicium*



Gdy w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku rozpoczynałem studia w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego, dziedzina wiedzy, której postanowiłem się poświęcić, była dla mnie przede wszystkim nauką humanistyczną, przestrzenią namysłu nad kondycją ludzką, sposobnością do wniknięcia w głąb tajemnic ludzkiego losu. Wergiliuszem stał się dla mnie rychło Marc Bloch, którego esej *Pochwała historii* trzymałem w dłoniach jak drogocenną perłę. Od Blocha właśnie nauczyłem się, że historia to nie nauka o przeszłości, ale o człowieku uwikłanym w czas. To Bloch napisał: „Strzeżmy się ogołocenia naszej nauki z zawartej w niej poezji. Przede wszystkim zaś nie wstydzmy się jej, a dostrzegłem takie uczucie u niektórych ludzi. Byłoby zdumiewającą głupotą mniemać, że ta poezja przez to, że działa tak silnie na naszą wrażliwość uczuciową, miałaby być mniej zdolna do zaspokajania również potrzeb naszego namysłu”. Wiele lat później Norman Davies we *Wstępie do Europy* dodał: „Rzeczą szczególnie godną ubolewania jest rozbrat między historią i literaturą”.

...Historyk?

Wyobraźnia jest niewątpliwie istotnym elementem badań historycznych
Norman Davies

Dzięki Blochowi, a potem i następnym, wśród których ważne miejsce zajmował Fernand Braudel, ufać zacząłem, że historia może i powinna być bramą prowadzącą ku innym naukom, portem i oazą, prawdziwym początkiem wielkiej podróży. Napawała mnie smutkiem konstatacja, że historycy

przyjęli za dobrą monetę to, co naukę historii trywializuje. Obowiązująca w ostatnich latach moda na wszelkiego rodzaju rekonstrukcje, plenerowe zabawy i teatralne kostiumy, legitymowana zachwytem profesjonalistów zdaje się – wbrew intencjom autorów i inspiratorów – odbierać uprawianiu historii

nia historii, które przekładają się na brak perspektywy zatrudnienia.

Co w istocie popularyzują inicjatywy rekonstrukcyjne? Najwierniejsze odtworzenie bitwy pod Grunwaldem zawsze będzie jedynie jej mniej lub bardziej niedoskonałą inscenizacją (niezwykle wręcz parodią). Taka zaś nie zapozna z historią jako całościowym spojrzeniem na życie, uniwersalną refleksją nad dziejami i losem człowieka. Zaskakująca bezkrytyczność wobec nowej mody doprowadza do sytuacji coraz bardziej kuriozalnych, jak zrealizowane w Reszlu w 2010 roku przerażające odtworzenie aktu spalania ostatniej na ziemiach polskich czarownicy czy niedawna rekonstrukcja rzezi wołyńskiej. Tu spotykamy się już najzwyczajniej z elementarnym brakiem wyczucia i smaku, a o walorach poznawczych nie sposób nawet mówić. Każda próba odtworzenia minionych wypadków nie tylko splaszca przekazywany obraz, ale czyni historię jednowymiarową, sprządzając ją do wybiórczo traktujących historyczne wydarzenia spektakli. W ten sposób historia traci swoją naukowość, a histo-

rycy-naukowcy stają się jedynie specjalistami, konstruktorami w dziedzinie re-konstrukcji.

Jeżeli można odczytywać niektóre pomysły rekonstrukcyjne w kategorii festynu, zabawy czy gry edukacyjnej, to zarazem nie powinno się zapominać, że aktywność ta zrozumiała będzie raczej jako forma uprawiania hobby, a nie profesjonalnego parania się historią. Tak się bowiem składa, że dobrze przygotowany strój z epoki czy kopia dawnej broni nie wymagają historycznych studiów, a jedynie ocytania i pasji. Nie przypadkiem liderują w tej dziedzinie godni podziwu pasjonaci-amatorzy. Głos mój nie jest zatem sprzeciwem wobec rekonstrukcji, ani próbą odebrania im urody i sensu, a jedynie pytaniem czy nie przypisuje się im innej roli niż ta, którą mają do odegrania.

Dziś sens obecności profesjonalnych historyków jest inny, choć w samej istocie taki jak od początku istnienia tego zawodu. Norman Davies pisał: „Dobry historyk musi zatem poświęcić tyle samo uwagi przekazywaniu informacji, co ich zbieraniu i porządkowaniu. Na tym etapie pracy musi wykonać wiele spośród zadań, które mają także do spełnie-



Norman Davies

nia poeci, pisarzy, artyści. Musi stale mieć na uwadze to, co robią wszyscy inni ludzie, którzy uczestniczą w kształtowaniu lub przekazywaniu naszych wrażeń dotyczących przeszłości: historycy sztuki, muzykologzy, muzeolodzy, archiwiści, ilustratorzy, kartografowie, kronikarze i biografowie, kolekcjonerzy nagrań, filmowcy, autorzy powieści historycznych – nawet spryciarze handlujący »butelkowanym powietrzem z czasów średniowiecza«”.

Historycy winni wyjść w stronę człowieka ze słowem, które byłoby obietnicą znajdowania odpowiedzi na najbardziej palące pytania teraźniejszości, światłem rzuconym na przeszłość tak, by zdołało przywrócić utraconą wiarę w to, że człowiek może się jednak od minionych pokoleń wiele nauczyć, że ich dorobek jest współczesnym potrzebny, że pamięć może pozwolić na przebaczenie, przestrzeń przed błędami, wzbudzić szacunek dla ofiar i pracy tych, którzy nas poprzedzali, i dać szansę na to, że nie popełnimy ich błędów. Historia to nie tylko to, co się zdarzyło, to także to wszystko, co człowiek przeżył i o czym marzył, co planował, a co mimo wszystko się nie ziściło. Historia jest historią marzeń i tego, czego ci, którzy byli przed nami, nie zdołali realizować, pozostawiając to następcom. Krótko mówiąc dociekania historyków nie tyle powinny być zaspakajaniem ciekawości, a nawet realizowaniem pasji, ale poszukiwaniem prawdy.

Jacek Kurek



Marc Bloch

zamykają się na wielkie humanistyczne przestrzenie różnych dziedzin nauki i są przedziwnie niewolniczo uzależnieni od źródeł pisanych oraz jednowymiarowo traktowanych faktów. Wówczas, gdy historia była ważnym orężem w walce z systemem komunistycznym, jej klasyczna postać z ambicją dociekania prawdy, tłamszonej w oficjalnym obiegu, stawała się potężnym wyzwaniem i obowiązkiem, a tradycyjne jej uprawianie – zwłaszcza w ukryciu przed oczami cenzorów – rzeczywiście przynosiło bogate plony. Minęło ćwierć wieku i czasy się zmieniły. Odnoszę wrażenie, że współczesna historiografia polska nie zdołała wnieść wystarczająco wiele do myślenia o uprawianiu tej roli. Więcej, liczni historycy bez zastrzeżeń

jej zasadniczy sens. Idei działań rekonstrukcyjnych przyświeca przekonanie, że ich realizacja popularyzuje historię. To z pozoru oczywiste spostrzeżenie po namyśle nie może nie wzbudzić wątpliwości. Nie przeprowadzono żadnych badań, które potwierdziłyby związek między aktywnością grup rekonstrukcji historycznych a wzrostem zainteresowania historią. A rzeczywistość mogłaby skłaniać nawet do wniosków przeciwnych. Wystarczy rzucić okiem na topniejącą liczbę młodzieży studiującej obecnie w Polsce historię i porównać popularność tego kierunku z innymi, by nabrać wątpliwości, aczkolwiek nie należy pomijać również wpływu czynników demograficznych i zmian w programach naucza-



Fernand Braudel

W Polsce ostatnich lat dostrzegamy zjawisko ponownego odkrycia własnej tożsamości i przywiązania do kultury narodowej. Ale sytuacja, która wydaje się obecnie poprawiać, po roku 1989 nie rysowała się zbyt jasno. Zachłyśnięcie stylem i zamożnością krajów Europy zachodniej wytworzyło wśród mieszkańców naszego kraju bezkrytyczny zachwyt nad tym, co „europejskie”, czyli po prostu zachodnie, przy jednoczesnym deprecjonowaniu elementów tworzących własną tożsamość.

Kiedy naród odrzuci kulturę...

Nie było wyjątkiem przekonanie o tym, że narody, których materialny status wynikał po prostu z tego, iż nie dotknęły ich jeszcze socjalistyczne pomysły na gospodarkę centralnie planowaną, są mądrzejsze albo lepsze. Mieszkańcy wychodzącego z siemiężnego systemu kraju woleliby być Niemcami czy Francuzami niż Polakami. Można zastanawiać się, czy stan ten dotyczył członków narodu, a więc świadomej i zorganizowanej politycznie wspólnoty, czy był objawem przynależności do żywiołu narodowego, by odwołać się do endeckiej teorii. Faktem jest jednak, że wspierano to stanowisko w mediach, które często promowały to, co obce, historię Polski ukazując jako pasmo porażek i nieudanych eksperymentów ustrojowych, a kulturę narodową i tradycyjną jako element spreczny z trendem modernizacyjnym.

Podział, który wytworzyła taka postawa, jest wciąż widoczny, choć może już nie tak dojmujący jak kilkanaście lat temu. Obecnie nałożył się na inne, żywe podziały i nie jest jedynym, który występuje w naszej przestrzeni publicznej. Polska nie jest przy tym oczywiście jedynym krajem, który musiał zmierzyć się z dość gwałtownym odrzuceniem tradycji tworzącej tożsamość jej mieszkańców. Co ciekawe, podobny problem dało się zauważyć w odległej geograficznie i kulturowo Japonii. Po drugiej wojnie światowej i upadku imperialnych planów Kraju Wschodzącego Słońca, Japonia została zmuszona przez okupanta – Stany Zjednoczone – do modernizacji ustrojowej i gospodarczej. Nie była to pierwsza modernizacja tego kraju, nie minął wówczas jeszcze wiek od okresu Meiji, który w dziejach wyspiarzy stanowi czas najszybszych i najgwałtowniejszych przemian. Już wtedy przeciwko odrzuceniu tradycyjnych wartości protestowano zbrojnie, do dziś upamiętnia się wystąpienie Takamori Saigō, znany jako bunt Satsumy, aluzyjnie przypomniany w filmie „Ostatni samuraj”. Klęska w wojnie światowej wydawała się jednak być wystarczającym szokiem, by nie wywoływać takich oporów przed zmianą modelu ustrojowego i polityki kulturalnej kraju. Pod okiem generała MacArthura powstała nowa konstytucja, wprowadzająca

do Japonii wartości świata zachodniego, a postawienie nacisku na gospodarkę rodzinną i udział wolnego rynku pchnęło Japonię na ścieżkę mocnego rozwoju ekonomicznego. Lata sześćdziesiąte XX w. były czasem, w którym podejmowane wcześniej zmiany zaczęły w tej mierze przynosić spektakularne sukcesy i przesuwając azjatyckiego gracza w górę podium światowej ekonomii. Fala sukcesów spowodowała również zachłyśnięcie się wzorcem amerykańskim i swoją drugą westernizację Japonii. Na zniechęconego przeciwnika z okresu wojny zaczęto patrzeć z podziwem, zazdrością i pragnieniem naśladowania. Społeczeństwo zaczęło skupiać się na osiągnięciach związanych ze światem materialnym, zapominając coraz bardziej o sferze ducha, do której taką dbałość przykładano w tradycji kultury japońskiej. Głową państwa pozostawał cesarz, ale przegrany w wojnie Hirohito musiał pogodzić się z rolą, którą wyznaczali mu po wojnie Amerykanie. Niewspółmierność pozycji cesarskiej do tej, którą zajmował on przed konfliktem może pokazać fakt, że w przemowie noworocznej z roku 1946 cesarz ogłosił deklarację o człowieczeństwie, czyli odrzucił pogląd o boskim pochodzeniu władcy.

Wszystkie te elementy, zarówno obiektywnie pozytywne, jak i takie, które pozbawiały Japończyków tożsamości i zrywały z dotychczasowymi zwyczajami, spotkały się z krytyką w środowiskach tradycjonalistycznych. Wśród najbardziej znamiennych wystąpień w obronie dawnego porządku i powiązania współczesnego życia, przede wszystkim politycznego, z tradycjami wyrosłymi w kulturze politycznej Japonii, niewątpliwie znajduje się akcja, jaką podjął Mishima Yukio w listopadzie 1970 r. W czasie, gdy upajano się sukcesem ekonomicznym Japonii, która stała się drugą gospodarką świata, ten znakomity pisarz sformułował paramilitarną organizację Tatenokai, przy pomocy której usiłował dokonać zamachu stanu. Wraz z kilkoma towarzyszami wziął na zakładnika jednego z generałów japońskich Sił Samoobrony (zgodnie z konstytucją Japonia nie mogła posiadać regularnej armii). W dramatycznej przemowie do zgromadzonych pod bu-



Bunt Satsumy - Takamori Saigō ze swoimi oficerami



Mishima Yukio

dynkiem jednostek usiłował przekonać żołnierzy do konieczności powrotu do dawnych tradycji, przywrócenia właściwej roli politycznej cesarza i ponownego pogłębienia tożsamości japońskiej. Niemal symboliczne okazało się przytłumienie jego słów przez helikoptery wojskowe, gdzie nowoczesna technika zagłuszyła głos tradycji i du-

cha. Mishima Yukio, świadomy porażki akcji, popełnił wraz z jednym z towarzyszy seppuku, a pozostali zgodnie z zasadami tej formy śmierci w odpowiednim momencie ścięli im głowy. Dzięki wybitnemu talentowi literackiemu Mishimy Yukio, możemy poniekąd wczuć się w sytuację dramatu, który stał się jego udziałem. W tomie „Zimny

płomień”, opublikowanym kilka lat temu w tłumaczeniu Henryka Lipszyca, znajduje się opowiadanie „Umiłowanie ojczyzny”, w którym autor przedstawia ostatnie chwile oficera przed popełnieniem seppuku. Choć opowiadanie nawiązuje do wydarzeń z lat trzydziestych i ówczesnego buntu w armii cesarskiej, to nietrudno znaleźć analogie z sytuacją samego Mishimy. Droga Mishimy Yukio została przez Japończyków odrzucona. Choć w kraju tym kulturuje się zwyczaje i starannie dba o zabytki, nie jest to z pewnością sposób, o którym myślał pisarz. Życie polityczne i gospodarcze nie biegnie według nakazów ani tradycji ustrojowych dawnej Japonii. Nowoczesność, z wszystkimi, także negatywnymi konsekwencjami, pokonała tradycję, pozostawiając jej rolę podobną do roli cesarza po wojnie. Ale paradoksalnie Mishima Yukio z jego desperackim krokiem – okrzykiem w obronie tradycyjności kultury i nie zrywania z dziedzictwem budującym tożsamość jednostek we wspólnocie narodowej, stał się w pewien sposób inspiracją dla konserwatystów zachodnich. Dr Tim Stanley, piszący bloga dla The Daily Telegraph, nawiązał w jednym ze swoich ostatnich tekstów do postawy japońskiego pisarza. Stanley słusznie zauważył, że podobnie jak Mishima Yukio, także europejscy konserwatyści odrzucają nowoczesność z jej duchową pustką. Jako remedium wskazywał jednak nie desperacki krok Japończyka, lecz to, co robił on przed feralnym listopadem 1970 r. Angielski publicysta twierdzi, że to właśnie przez opis, dogłębną analizę współczesności wyzutej z wartości można walczyć o przywrócenie tego, co tradycyjnej kulturze dawało jej przewagę nad dzisiejszą miernotą i brakiem tożsamości – zespół klasycznych wartości, które trzeba promować w miejscach, w których się jest – przejmując instytucje, szkoły, uniwersytety. Niezależnie od tego jednak, czy pójdzie się drogą Mishimy Yukio, która przecież również pozostawiła trwałe ślady, czy za radami Tima Stanleya, wydaje się, że jeśli zerwiemy związki kultury i narodu, nie pozostanie nam ani jedno ani drugie.

15 października 2012 r. Sejmik Wojewódzki Województwa Śląskiego podjął uchwałę w sprawie ogłoszenia roku 2013 Rokiem kardynała Augusta Hlonda. W ten sposób pragniemy uczcić – czytamy w uchwale – pamięć Syna Śląskiej Ziemi, urodzonego na Górnym Śląsku, w Brzęczkowicach koło Mysłowic, którego 65 rocznica śmierci przypada 22 października br. W uzasadnieniu wymienia się znane zasługi Augusta Hlonda: organizator i pierwszy biskup Diecezji Katowickiej, kardynał, Prymas Polski. Zapomniano dodać „kandydat na ołtarze”. Należy być wdzięcznym radnym wojewódzkim za to, że zdecydowali się poświęcić tej wybitnej postaci cały rok obchodów.



Wybitny duchowny



Kim był ten niewątpliwie wybitny duchowny? Jakie przymioty zadecydowały o jego wielkości? Z całą pewnością można stwierdzić, że nie byłby tym kim został, gdyby nie wychował się na Śląsku. Urodził się 5 lipca 1881 r. w dzisiejszej dzielnicy Mysłowic, Brzęczkowicach jako drugi syn Jana i Marii z domu Imiela. Warunki, w których wychowywał się mały August były bardziej niż skromne. W sumie miał jedenaścioro rodzeństwa. Rodzinę utrzymywał ojciec pracujący na kolei jako dróżnik. Hlondowie wychowywali swoje dzieci, jak to po latach przyznał sam August, *nie do pieśczoł i wygod, lecz do hartu i pracy ucząc kochać obowiązek, a powinność spełniać poważnie i ochoczo*. Dom rodzinny przepełniony był duchem modlitwy i szczerą – jak to wówczas na Śląsku było – pobożności, a także patriotyzmu. Z domu tego wyszło trzech księży i jeden brat zakonny. Edukację podstawową odbywał August w trzech szkołach, m.in. w Chorzowie. Po kilku miesiącach nauki w mysłowickim gimnazjum rodzice wysłali go, wraz ze starszym bratem Ignacym, do zakładu salezjańskiego w Turynie, we Włoszech. Prawdopodobnie chłopcy zapoznali się z biografią wielkiego wychowawcy młodzieży i założyciela Zgromadzenia Salezjańskiego ks. Jana Bosco, który we Włoszech stworzył szereg zakładów dla chłopców z ubogich rodzin, zapewniając im wychowanie religijne, wyuczenie się zawodu lub realizację powołania kapłańskiego. Tam w Lambiasco, w zakładzie salezjańskim przeznaczonym wyłącznie dla polskich chłopców, ukończył gimnazjum. Tam też dojrzało jego powołanie zwieńczone wstąpieniem do Zgromadzenia Salezjańskiego. Dnia 3 października 1897 r. złożył śluby wieczyste. Dostrzegając wielkie zdolności Augusta, przełożeni wysłali go na studia filozoficzne i teologiczne na rzymski Uniwersytet Gregoriański. Studia ukończył w 1900 r. doktoratem z filozofii.

Już jako kleryk intensywnie pracował z młodzieżą. Pracę tę kontynuował w Oświęcimiu, gdzie przez 5 lat był wychowawcą chłopców w tamtejszym zakładzie salezjańskim. Później podobną placówkę zorganizował i prowadził w Przemyślu, a w 1909 r. otrzymał nominację na dyrektora zakładu salezjańskiego w Wiedniu. Wszędzie, gdzie pracował z młodzieżą starał się zainteresować ją sportem, muzyką, teatrem, a w sposób szczególny troszczył się o jej poziom religijny i moralny. Wszędzie młody August wykazywał się wybitnymi zdolnościami organizacyjnymi. Praca w różnych rejonach monarchii austro-węgierskiej, wśród mocno zróżnicowanych środowisk zarówno społecznie jak i narodowościowo pozwoliła mu zdobyć szeroką wiedzę i doświadczenie z zakresu psychologii społecznej i socjologii, a także dała możliwość wyrobienia w sobie poczucia tolerancji dla odmiennych obyczajów i postaw. W uznaniu dorobku ks. Augusta mianowano przełożonym salezjańskiej prowincji niemiecko-węgierskiej. W połowie 1922 r. część Górnego Śląska została przyłączona do Polski. Było to jedno z najdonioślejszych wydarzeń politycznych na ziemiach polskich. W konsekwencji powstań śląskich i plebiscytu w granicach państwa polskiego znalazł się obszar zamieszkały przez 1 mln ludzi, w 3/4 Polaków. W tym samym roku, decyzją Stolicy Apostolskiej, utworzono tu Administrację Apostolską, a od 1925 r. diecezję katowicką. W obu przypadkach na czele nowo powstałych jednostek stanął ks. August Hlond. W ogarniętym chaosem i antagonizmami polskim Śląsku, który po wielkiej wojnie, powstaniach i plebiscycie był niewiarygodnie podzielony i skłócony społecznie. Dotyczyło to także środowiska katolików, z których 160 tys. przynależało do pochodzenia niemieckiego. Hlond wydał się być idealną postacią. Zaważyło jego doświadczenie, umiejętność łagodzenia sporów, a także fakt, że nie był zaangażowany po żadnej stronie konfliktu, potrafił działać neutralnie. Unikał jednoznacznych deklaracji politycznych i narodowych. Nie dał się wciągać w konflikty istniejące między różnymi grupami. Swój plan na Górny Śląsk widział ks. Hlond w jednoczeniu mieszkańców wokół programu społecznego Kościoła ka-

tolickiego. Zarówno Polaków jak i Niemców. W tym celu organizował zjazdy katolickie. W dniach 6-8 września 1923 r., w Królewskiej Hucie, odbył się II Zjazd Katolicki. Wtedy to został powołany do życia tygodnik Gość Niedzielny, a także Liga Katolicka, która miała koordynować działalność kościelną katolików świeckich. Zjazd ten został jednak zbojkotowany przez Niemców. O sukcesie polityki ks. Hlonda świadczy fakt, że już w III Zjeździe zorganizowanym rok później, w Katowicach, wzięły udział obie skłócone grupy katolików – polskich i niemieckich. Na istniejące konflikty społeczne, upadek moralny, społeczny i gospodarczy Ślązaków, nakładały się nowe, powodowane przez napływającą na Śląsk ludność polską. Niosła ona ze sobą powierchową religijność i poczucie wyższości w stosunku do miejscowej ludności. Sytuacja zmuszała ks. Hlonda do wielkiej aktywności duszpasterskiej. Widział on swoje ogromne zadanie w przywracaniu ład moralnego i gorliwości religijnej na Górnym Śląsku. W ciągu czterech lat pobytu na Śląsku opublikował 35 tekstów swoich przemówień i wystąpień. Zwykle swoje wypowiedzi kierował do konkretnej grupy społecznej. Prezentował się przed swoimi diecezjanami jako duszpasterz, zainteresowany ich codziennymi sprawami, ich postawą duchową i moralną. W tonie jego wypowiedzi pobrzmiwały echa lektury wielkich polskich romantyków, Słowackiego i Mickiewicza. Język zaś wypełniony był obrazami, które kierowały uwagę słuchacza w stronę przyszłości. W odezwie do młodzieży katolickiej pisał: *Na próżno Śląsk spodziewa się lepszych czasów, jeżeli wy nie będziecie lepsi od pokolenia, na które patrzycie. Nie uratujemy tego niegdyś tak czernstwego szczerpu śląskiego od moralnego upadku i zwyrodnienia fizycznego, jeżeli wy nie zachowacie i nie spotęgujecie swych sił życiowych i twórczych. Nie odrodzimy kraju i ludu, jeżeli wy ze śląską energią nie podejmiecie bezwzględnej walki z każdym objawem nieobyczajności i alkoholizmu, z którym spotykacie się czy to w księżce, gazecie czy pieśni, czy też na ulicy, w teatrze, kinematografii, w stroju lub towarzysztwie*. August Hlond wypowiadał się także o roli kościoła katolickiego w życiu społecznym. W liście pasterskim z 1925 r.

zwracał uwagę, że *Kościół nie może się identyfikować z żadną narodowością i z żadną partią polityczną, nadużywanie religii z jakiegokolwiek strony do celów politycznych czy klasowych jest niedopuszczalne i trwałych korzyści przynieść nie może*. Nie obca była mu problematyka bezrobocia. W 1924 r. powołał w Katowicach Śląski Komitet Ratunkowy mający nieść pomoc ofiarom kryzysu gospodarczego. Już jako prymas stwierdził, że *warunki, w jakich żyje proletariat są hańbą naszych czasów*. W styczniu 1926 r. przyjął z rąk biskupa Aleksandra Kakowskiego sakrę biskupią. Już sześć miesięcy później został przeniesiony do Gniezna zostając arcybiskupem najważniejszej diecezji w ówczesnej Polsce, związanej z tytułem i funkcją Prymasa Polski. Rok później przyjmuje biret kardynalski. Pius XI, mianując Hlonda na arcybiskupa gnieźnieńskiego, miał powiedzieć: *Mianując syna ziemi śląskiej na prastary stolec biskupi pragnę dać dowód, jak bardzo zależy mi na jedności Polski, by Polska była jedna*. Podobnie jak w diecezji katowickiej tak i w diecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej oraz w całej Polsce realizował program pogłębienia życia religijnego, szczególnie w rodzinach, w zakresie nauk społecznych i wychowania. Wykazywał wielkie zainteresowanie sprawami społecznymi traktując je na równi ze sprawami kościelnymi. Był uczestnikiem wielu kongresów i zjazdów chrześcijańskich. Trzykrotnie, na kongresach eucharystycznych, był legatem papieskim. Motywy swojej polityki, opartej na społecznej nauce Kościoła, rozwinął szerzej kardynał August Hlond w orędziu zatytułowanym Kryzys polskiej duszy z 1926 r. Stwierdził w nim m.in., że: *Kościół nie jest ani szkołą polityczną, ani politycznym warsztatem, lecz szkołą sumienia katolickiego, którego mężowie stanu, politycy, członkowie ciał ustawodawczych i urzędnicy mają wstępować w życie publiczne*. Szeroką wykładnią tego zagadnienia dał w słynnym liście pasterskim „O chrześcijańskie zasady życia państwowego” z 1932 r.

List ten był tłumaczony na wiele języków i doczekał się licznych zagranicznych publikacji. Prymas mówi w nim, m.in., iż *Normalnym stosunkiem między Kościołem i Państwem jest zgodna współpraca (...)* Nie jest rzeczą Kościoła dążyć do władzy politycznej, sprawować rządu i domagać się udziału w jego administracji. *Ta dziedzina podlega całkowitej władzy państwowej (...)* Gdy atoli w tych dziedzinach wylaniają się zagadnienia moralne i gdy sprawy państwowe wkraczają w sferę sumienia (...) wtedy Kościół ma prawo, a nieraz i obowiązek zajęcia się etyczną stroną wydarzeń politycznych. Natomiast w 1926 r., w obliczu przewrotu majowego stwierdził, że *Tak zwane silne rządy są uzasadnione, o ile są sprawiedliwe. Każdy rząd bowiem powinien być sprawiedliwy i pierwszy powinien szanować słuszne prawa, nawet celować w ich przestrzeganiu*. Wtedy to prymas interweniował u prezydenta Mościckiego w sprawie więźniów brzeskiego więzienia i uwolnienia Wojciecha Korfańtego. Wojnę prymas Hlond spędził na uchodźstwie, gdzie nadal służył Polsce. Po powrocie do kraju w 1945 r. zajął się organizacją życia kościelnego na ziemiach zachodnich i obroną społeczeństwa przed bolszewickim totalitaryzmem. Wspólnie z innymi biskupami składał u premiera petycję dotyczącą zasad rządzenia państwem, krytykował małą konstytucję. Jeszcze trzy tygodnie przed śmiercią przewodniczył konferencji episkopatu. Zmarł w 1948 r., pochowany został w warszawskiej archikatedrze. W powszechnej opinii kardynał August Hlond jest zaliczany do najwybitniejszych postaci polskiego kościoła. Wywarł ogromny wpływ na jego kształt, a owoce jego działalności możemy obserwować do współczesności. Jego uwagi dotyczące życia społecznego nadal są aktualne. To On wskazał krótko przed śmiercią swojego następcę w osobie mało znanego biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego, który z kolei był mistrzem dla Karola Wojtyły, późniejszego papieża Jana Pawła II.

Mariusz Tracz

